



Fot. — R. Zielazek

TEATR

Wesele czy stypa?

Ileż to już razy byłem w teatrze na „Weselu”? W samym tylko Poznaniu widziałem trzy różne inscenizacje: Tadeusza Byrskiego, Leokadii Serafinowicz i Romana Kardińskiego. A z tymi oglądanymi na scenach Warszawy, Krakowa, Łodzi i festiwalowego Kalisza doliczyłem się dziesięciu aż inscenizacji. Każda z nich na swój sposób była inna. Bo też jest to najbardziej pojemny treściowo polski dramat i wciąż jeszcze, po 85 latach dzielących nas od krakowskiej prapremiery, tak bardzo aktualny, współczesny. I co najistotniejsze może, każdorazowo daje się on usytuować w czasie, a więc pozwala na odczytanie go poprzez oczekiwania, nastroje i potrzeby chwili. To jest tak jakby „Wesele” dojrzewało wciąż i rozwijało się wraz z nami.

Na przedpremierowej konferencji prasowej Janusz Nyczak nie ukrywał, że pokusił się o próbę nowej interpretacji dzieła Wyspiańskiego. Mówił, że jego przedstawienie zerwie z tradycją, która chciała widzieć w „Weselu” przede wszystkim szopkę narodową, kabaret i pamflet i że mieć ono będzie wymiar bardziej symboliczno-metaforyczno-egzystencjalny. W zamyśle reżysera istotą dramatu miała być opozycja dwóch przeciwstawnych sobie postaw i światopoglądów: chrześcijańskiego i prymitywnie sarmackiego, uosobianego tutaj przez Chochola. Za taką też koncepcją myślową spektaklu zdają się przemawiać teksty zamieszczone w interesująco zredagowanym programie do przedstawienia. Ale czy przestanie to na scenie jest dostatecznie czytelne?

Praca J. Nyczaka spotkała się z ogromnym zainteresowaniem środowiska. Ileż to znakomitości polskiego teatru pojawiło się na premierze, ilu krytyków zjechało tego dnia do Poznania! Nastrój szczególnego zainteresowania udzielał się także widzowi. Powstała jakby ogromne społeczne zapotrzebowanie na duży sukces, na kolejny znaczący w kraju spektakl tego właśnie reżysera i tego właśnie teatru.

Czy jest to taki właśnie spektakl? Otóż tego bynajmniej nie jestem pewien. Chociaż premierowa publiczność przyjęła przedstawienie nader życzliwie, więcej może nawet niż gorąco, spektakl wydał mi się interesujący, a jednocześnie budził jednak uczucie pewnego niedosytu. Jest to jakby przedstawienie innego reżysera, bez tego, tak charakterystycznego dla jego teatru: nastroju, skupienia, wsluchania się w propozycje aktorów i pokazywania poprzez nich prawdy postaci.

Największy opór stwarzała reżyserowi nie tyle może warstwa znaczeniowa dramatu, co jego formuła literacka: rytm przednich realizacjach „Wesela”, a szczególnie w pamiętnym przedstawieniu Adama Hanuszkiewicza z lat sześćdziesiątych, urzekająca lekkość dialogu, precyzja słowa i ów tak typowy dla tego właśnie dramatu ping-pong słowny zakończony z reguły zrymowaną pointą.

Przedstawieniu J. Nyczaka wyraźnie nie dostaje lekkości, dowcipu, ironii. Maksymalnie skupiona na śledzeniu biegu myśli widownia tym razem w ogóle nie reaguje na dowcip tekstu, na to co w bogatej partyturze Wyspiańskiego jest kabaretem. Reżyser każe aktorom rozciągać słowa, tumać rym i rytm wiersza, kłaść większy nacisk na treść niż na formę. Przedstawienie, zwłaszcza w dwóch pierwszych aktach, wydaje się przez to nazbyt celebrowane, a momentami wręcz nawet nużące. Szczególnie jest to widoczne w scenach ze zjawami, które odbywają się w tak mrocznej i zaduszkowej scenerii, że to wesele kojarzy się raczej ze stypą i przypomina nieco obrzędową część „Dziadów”. A jest tak dlatego, że wszystko budowane jest tu obrazem, znakiem, symbolem, a nie słowem, które zostało jakby zatarte i nie zawsze też jest czysto i precyzyjnie podawane przez aktorów.

Przedstawienie J. Nyczaka podporządkowane zostało scenie finałowej i bardzo konsekwentnie do niej zmierza. A zamykający spektakl obraz rzeczywiście znakomicie przedstawienie pointuje. Oto raz jeszcze rozsuwają się ściany, mocno przyciśnięj dotąd izby i całą przestrzeń sceny wypełnia osobliwe nasze narodowe panopticonum w chocholim tańcu uśpienia i omamienia wielką przekazywaną z ojca na syna utudą. Sylwetki poszczególnych postaci w tym tańcu jakby zacierają się, sprowadzone zostają do znaków, stereotypów kulturowych, symboli...

Tak jak w przedstawieniach Janusza Wiśniewskiego trudno jest i w tym spektaklu oddać sprawiedliwość aktorom. Ich działania sceniczne, plastyka postaci oraz sam sposób istnienia na scenie, podporządkowane zostały tutaj koncepcji reżyserkiej spektaklu. Z bogatej galerii uruchomionych przez reżysera postaci największą siłą przebicia mają odtwórcy ról charakterystycznych: Tadeusz Drzewiecki — Czepiec, wyraźnie groteskowo potraktowani panowie inteligencji: Wiesław Komasa — Gospodarz oraz Leszek Łotocki — Pan Młody.

Na koniec zwykło się sumować wrażenie, formułować wnioski, oceny. Mnie trochę jednak rozczarował ten spektakl, chociaż przecież wraz z całą salą biłem brawa, wołałem — reżyser...

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Teatr Nowy w Poznaniu: „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Janusza Nyczaka. Scenografia: Michał Kowarski, muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera: 19 września 1987.